

Kiedy pęknie rura...

Często w dyskusjach o ochronie przyrody pojawia się temat katastrof ekologicznych. Katastrofa jak to katastrofa - powszechnie kojarzy się wyłącznie źle. A zatem należy robić wszystko, by do niej nie dopuścić. Też nie życzyłbym sobie katastrof ekologicznych, z racji tego, że oznaczałyby one ubytek w substancji przyrodniczej, zagładę istniejących jeszcze resztek dawnej wspaniałości. Bowiem jeśli chodzi o ludzi, to czasami myślę sobie, że jakaś katastrofa mogłaby im tylko wyjść na dobre. Dlaczego?

Po pierwsze, katastrofa jest lekcją, z której można wyciągnąć wnioski. Po jednej powodzi ureguluje się rzekę, po drugiej - usypie wyższe wały. Lecz, gdy trzecia powódź sprawi, że masy wody będą pędziły prostym korytem i nie mieszcząc się w nim, w mgnieniu oka przeleją się przez wysokie wały, może nadejdzie opamiętanie. Ktoś powie, że niewiele wynika z mądrości po szkodzie. Cóż, to prawda, ale rzadko kto potrafi być mądry przed szkodą. Niemniej jednak znacznie skuteczniejszym - co nie znaczy, że zawsze skutecznym - rodzajem nauki wydaje mi się ten, który bazuje na życiowych doświadczeniach, nie zaś jego czysto teoretyczny odpowiednik.

Po drugie, nawet jeśli katastrofa będzie totalna, czyli nie pozwoli na wyciągnięcie żadnych wniosków, również nie będzie zła. Tak to już bowiem bywa, że nic nie dzieje się bez przyczyny i skoro na skutek własnych błędów gatunek ludzki czeka zagłada, oznacza to, iż sobie na nią mocno zapracował. Wina musi spotkać się z karą, a surowość kary powinna być adekwatna do rodzaju przewinienia. Ponoszenie odpowiedzialności za swoje czyny, choćby było dotkliwe, wydaje mi się ze wszech miar pożądane i sprawiedliwe (jak mówi polskie przysłowie: "Krzywdy nie ma, kto cierpi na co zasłużył"). Oczywiście, jak to zwykle bywa, ucierpią też niewinni. To rzeczywiście przykre, ale takie są koleje losu, a niesprawiedliwość jest wpisana w porządek tego świata na równi ze sprawiedliwością. Pewien klasyk politycznego realizmu, zatrudniony na etacie inkwizytora, stanął ongiś przed pewnym dylematem. Oblegano miasto zamieszkałe w dużej mierze przez heretyków i jego towarzysze odradzali podpalenie całego grodu, z racji tego, że część mieszkańców była prawowiernymi wyznawcami. Na to on rzekł: "Spalmy wszystkich, Bóg rozpozna swoich". Należy zatem mieć nadzieję, że po ewentualnej "niesprawiedliwej" i mało wybiórczej katastrofie, rzeczywiście niewinni spotkają się w zaświatach z zadośćuczynieniem. Nie sądzę jednak, by takie dylematy, jak ich ewentualna krzywda powstrzymały naturę przed odpłaceniem nam pięknym za nadobne.

Po trzecie, katastrofa uczy pokory. Przypomina osobnikom o zbyt wybujałym ego, gdzie jest ich miejsce i jak mało znaczące są zarozumiałe rojenia o staniu się panami świata. Katastrofa przywraca właściwe proporcje, na powrót zaprowadza równowagę. Pozwala sprawdzić, co warte są fantastyczne wizje w zestawieniu z twardą rzeczywistością, z nieco zapomnianą i zepchniętą na margines prozą życia. Usuwa spod nóg grunt, na którym ufundowano świątynie pychy. Ukazuje, jak niewiele znaczą w sytuacji krańcowej sterty nagromadzonych cywilizacyjnych gratów, jak zawodna i krótkotrwała jest potęga technicznego instrumentarium. Nieco opadów, jakieś silne porywy wiatru, osunięcie ziemi, śnieżycy, gradobicie - i okazuje się, że wyłączyli prąd, wyłączyli wodę, telefon też wyłączyli (a komórka się wyładowała...), gaz rzecz jasna również wyłączyli, do sklepu dostać się nie można, zresztą i tak nie dowiozą tam towaru. No i kłapa: brud, smród i ubóstwo. Zero telewizora, komputera, mycia, prania, jedzenia, kontaktu ze światem - istny horror. Było miło, ale się skończyło. Na nic całe lata ciułania, pracy po godzinach, szkoleń i kursów, rat i kredytów, przymilania się do szefa. Co innego zaczyna być ważne.

Po czwarte, katastrofa jest naturalna w tym sensie, że antycypują ją liczne tradycje duchowe i intelektualne. My wychowani jesteśmy na ogół w duchu mitu linearnego postępu, stałego wznoszenia

się ku doskonalszym i wyższym formom, przekraczania kolejnych barier na drodze do lepszego świata. Tymczasem w tradycji chrześcijańskiej mamy silny wątek apokaliptyczny, w hinduizmie idee *kaliyugi*, czyli epoki żelaza i cyklicznego - z powtarzającymi się epokami upadku - charakteru dziejów, w humanistyce bynajmniej nie marginalny nurt spod znaku szeroko pojętego Kulturpessimismus, którego kwintesencją stały się słynne słowa Oswalda Spenglera konstatującego, że w epoce nieuchronnego upadku "optymizm jest tchórzostwem". Idea postępu, mimo swej popularności, wydaje się w świetle faktów raczej naiwną mrzonką, niż odzwierciedleniem realnie zachodzących procesów. Kto wie zatem, czy prawdziwsza nie okaże się ta, która mówi nam o nieuchronnym zmierzchu wszystkiego, upadku w otchłań zagłady, by dopiero później, na zgliszczach, mogło dojść do renovatio.

Po piąte wreszcie, katastrofa odbudowuje nadwerężone więzi między ludźmi. Wtedy okazuje się, że choć jesteśmy "kosmopolityczni" i dusimy się w naszym - jak mawia moja koleżanka - "cholernym grajdole", najważniejsze są kontakty z najbliższymi osobami i otoczeniem. Znikają wówczas uprzedzenia, animozje, w niepamięć odchodzą urazy, zaczynamy dostrzegać osoby, które kiedyś gdzieś tam napotkaliśmy po drodze ze sklepu, ale które obchodziły nas znacznie mniej niż kolejny odcinek popularnego serialu o fabule "z życia wziętej". Teraz okazuje się, że mamy wspólny interes, że możemy cokolwiek zrobić wyłącznie z innymi, że oni są potrzebni nam, a my im, w dodatku zaś, co dziwi nas szczególnie mocno, wydają się znacznie bardziej sympatyczni niż się spodziewaliśmy. Na gruncie przyziemnych kłopotów i potrzeb przywrócone zostają naturalne więzi, odbudowuje się etos wspólnoty.

Miałem kiedyś do czynienia z drobną namiastką katastrofy. Na mojej ulicy zepsuł się wodociąg, w newralgicznym miejscu pękła rura. Wodę dostarczano przez trzy dni beczkowitzem, przy którym gromadzili się o określonych porach dnia wszyscy mieszkańcy sporego kawałka ulicy, pobrzękując wiadrami, kotłami, konewkami i czym tam jeszcze każdy dysponował. Wtedy to poznałem osoby, których do tej pory nie widziałem ("bo wiesz, po pracy to człowiek tylko przed telewizorem ma się siedzieć"), ze znanymi wyłącznie z widzenia ludźmi nawiązałem żywsze kontakty, a z kilkoma już nieźle zapoznanymi jeszcze bardziej się zżyłem. Nie było cudów, bo i "katastrofa" mizerna. Gdyby jednak z jakiejś przyczyny odcięto nas od świata i zdano tylko na siebie przez dłuższy okres, to i efekty tego byłyby dużo większe. A gdyby rura nie pękła w ogóle, to połowa tych ludzi nie wymieniałaby nawet standardowego "dzień dobry", co w dzisiejszych tzw. "społecznościach lokalnych" nie dziwi już chyba nikogo.

Dlatego też, mając na uwadze to wszystko, nie zamierzam się przesadnie troszczyć o groźne dla człowieka następstwa katastrofy ekologicznej. Jeśli na skutek eksploatacji przyrody szlag trafi rodzaj ludzki, znaczy to, że bardzo się postaraliśmy i mamy to, na co zasłużyliśmy. Jeśli zaś szlag nas nie trafi, a tylko nieco uszczupli dotychczasowy stan posiadania, mogą z tego wyniknąć całkiem przyzwoite rzeczy. Będzie co prawda więcej krwi, potu i łez, czyli wszystkiego, czego współczesny człowiek wystrzega się jak tylko może, ale jednocześnie więcej tego, co stanowi o istocie człowieczeństwa. A z takiego powodu nie sposób rozpaczać.

Gdyby nie problem zagłady ekosystemu - to zresztą temat na osobną wypowiedź, czy przypadkiem nie za bardzo jesteśmy zarozumiali sądząc, iż możemy do niej doprowadzić - nie byłoby czego się obawiać. Przeciwnie, spokojnie można byłoby oczekiwać, aż pęknie jakaś naprawdę duża rura...

Remigiusz Okraska